

MIT PRZYRODY W POWIEŚCI

„DOKTOR ŻIWAGO”

BORYSA PASTERNAKA

Przedmiotem eseju będzie literacko-filozoficzna analiza kluczowych fragmentów powieści Pasternaka. W trakcie jej czytania zrozumiałem, że istotą tej powieści nie jest ani rewolucja sowiecka, w sposób wybitnie dekoracyjny potraktowana przez Pisarza (czego nie mogli mu wybaczyć komuniści), ani tym bardziej historia miłości będąca faktycznie melodramatem, znakomicie przedstawionym romansidłem, obok „Przeminęło z wiatrem” i „Pożegnania z bronią” – z pewnością zasługująca na miano jednej z najważniejszych powieści XX wieku.

Dlaczego w tytule eseju mówimy o micie Przyrody, a nie po prostu o opisach lub jej przedstawieniu?

Mit oznacza dla mnie istotny i ponadczasowy przekaz, jak gdyby wyciągniętą pomocną dłoń lub wręczony poza czasem pulsujący treścią, niezmiernie ważny komunikat.

Kiedy rozpoczynałem pisanie eseju (było to na przełomie lipca i sierpnia), w kraju trwała susza i na wszystkich padł blady strach. A były to zaledwie trzy tygodnie upałów! Odczuwałem wtedy niepokój i strach, że to się nie skończy, że wszystkie rośliny padną wysuszone aż do samego spodu gleby. A gdyby susza trwała znacznie dłużej, na przykład przez pół roku? Czy dotarłoby do ludzi, że są jedynym powodem buntu Przyrody wobec zdziczałej, zneurotyzowanej cywilizacji, „pełnej pychy Opiekunki”?

Z różnych opisów w powieściach niewiele wynika, są one zazwyczaj mniej lub bardziej kunsztownym przerywnikiem fabuły, rodzajem misternych arabesków umieszczonych pomiędzy kolejnymi scenami przedstawianego w tekście dramatu. Niczym więcej jak kulturową zabawą autorów, recenzentów i czytelników.

Natomiast „zaszycie” w powieść mitu jest natychmiast wyczuwalne, treści mityczne żyją, uwierają czytelnika, nie dają mu popaść w intelektualne samouwielbienie do swoich zdolności percepcyjnych. Treści mityczne niepokoją, nie dają się obejść, już po odłożeniu książki na półkę, powracają jak niechciana fala wspomnień nie-

widzialnego Oceanu, pełne niewygodnych w tych czasach znaczeń...

„Doktor Żiwago” to powieść zaszyfrowana, tzn. ukrywająca swoje prawdziwe oblicze przed czasami, w których została napisana. Jestem przekonany, że sam Autor nie do końca wiedział, co tak naprawdę opisuje, co chce istotnego w tej powieści przedstawić.

Stwierdzenie, że każdy autor nie do końca panuje nad procesem twórczym tak dużej formy literackiej, jaką jest powieść – jest truizmem. Rzeczywistość jaką chce opisać w powieści, jawi się mu jako ledwo oświetlona, olbrzymia dekoracja i jedynie siłą wyobraźni, tą magiczną latarnią autor próbuje oświetlić jak najwięcej elementów rozstawionych na scenie dramatu. Łączenie wątków przebiega intuicyjnie, według schematu z greckiej tragedii, raczej według instynktownie odczuwanej potrzeby kompensacji przeżytych treści niż według z góry zaplanowanego toku fabuły.

„Górę bierze nie człowiek i nie stan jego duszy, dla którego poszukuje wyrazu, ale język, którym pragnie go wyrazić. Język, owo źródło i skarbnica piękna i sensu, sam zaczyna myśleć i mówić za człowieka, i cały staje się muzyką, nie w aspekcie zewnętrznego słuchowego brzmienia, ale w aspekcie bystrości i siły swego wewnętrznego nurtu. Wówczas na podobieństwo pędzącego ogromu rzeki, która samym swym ruchem obtacza kamienie dna i porusza koła młyńskie, płynąca mowa wedle własnych praw tworzy po drodze, mimochodem, metrum i formę, i tysiące innych form i kształtów jeszcze ważniejszych, ale dotychczas nieznanymi, niedostrzeżonymi, nienazwanymi.” (s. 565, według wydania z 2001 r., przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk)

I. FILARY ŻYCIA W POWIEŚCI „DOKTOR ŻIWAGO”

Sądzę, że ta powieść tylko w warstwie narracji jest historią miłości i rewolucji, natomiast jej sens głęboki, czyli taki, do którego Autor podąża w chwilach najwyższego literackiego uniesienia i geniuszu, pozostaje zakryty za okazałym regałem, pełnym książek o tym niezwykłym, homeryckim eposie.

W kluczowych fragmentach powieści autor odwołuje się do „filarów życia” – nie potrafię tego inaczej nazwać – czyli do zawsze wytryskujących tajemnych źródeł wszechistnienia i zatopionego w nim pojedynczego, tragicznie przeżywającego swój los człowieka.

„Filary życia” – to potężne przęsła mostu, na którym wspiera się ta genialna powieść, a czytelnik przebywa go zupełnie jak Zaratustra Nietzschego: na początku jest nieświadomym, zwykłym „pożeraczem fabuły” a na końcu uzyskuje postać mędrca, chociaż na chwilę, na mgnienie oka. Stan ten szybko rozwiewa się i zanika w przepływie myśli, przeżyć i emocji, ale ta chwila, chwila olśnienia, warta jest więcej niż wszelkie dobra tego świata.

W eseju pominiemy warstwę narracyjną powieści, prezentację bohaterów, refleksję nad epizodami i skupimy się tajemnicy życia, którą Autor ukrył pod materia powieści i tak plastycznie w niej przedstawił.

Czym są „filary życia” dla Pasternaka? To najważniejsze momenty egzystencji, które w trakcie zabieganej codzienności, tak zwanej „walki o byt”, nieświadomie pomijamy w refleksji, a które są dla człowieka tak samo nieodzowne i konieczne jak woda i powietrze dla zwierząt i roślin. Są one tak wielkie i potężne, że ich bardzo często nie dostrzegamy, a co więcej, uważamy je za nieistotne i zupełnie pomijalne. Można je nazwać archetypami życia, czyli ciągle pulsującymi i życiodajnymi okręgami, które nadają nam sens, a ich brak jest natychmiast i dramatycznie odczuwalny.

Najpotężniejszym filarem życia w tej powieści jest Przyroda. Pasternak rezygnuje z opisu Przyrody jako takiej, pomija opis całej Przyrody, natomiast uwypukla jej wybrane aspekty, części najważniejsze, bez których nie jest możliwe jakiegokolwiek życie.

WODA. LAS. ZIMA

„Woda rozhułała się wszędzie. Spadała z urwisk, tworzyła sadzawki, rozlewała się szeroko. Wkrótce gąszcz leśny napełnił się jej szumem, parą i zapachem. Po lesie jak żmije rozpełzły się strumienie, które wzięły i nikły w tamującym ich bieg śniegu, z sykiem płynęły po równych miejscach i spadały w dół, rozsypane w wodny pył. Ziemia nie wchłaniała już więcej wilgoci. Z oszałamiających wyżyn, niemal spod obłoków, wypijały tę wilgoć swymi korzeniami odwieczne świerki, a u ich stóp, jak piwo na brzegu kufła, osiadały kłęby obsychającej białoburej piany.

Wiosna niczym wino uderzała do głowy niebu, które mętniało w odurzeniu i pokrywało się obłokami. Nad lasem płynęły niskie wełniste chmury z obwisłymi brzegami, z których tryskały ciepłe, pachnące ziemią i potem deszcze, zmywając z gleby ostatnie kawałki pokruszonego, czarnego lodowego pancerza. [...] Początkowo

śnieg topniał od spodu, niepostrzeżenie i ukradkiem. Kiedy zaś połowa tej heroicznej pracy została wykonana, i nie można jej było ukryć, cud ukazał się wszystkim oczom. Spod zsuniętego śnieżnego całunu wybiegła zgiełkliwa woda. Nieprzebyte leśne ostępy zadygotały. Wszystko się w nich przebudziło.” (s. 300 - 301)

„Las barwił się tu i ówdzie rozmaitymi dojrzałymi jagodami: ozdobnymi gronkami serdecznika, ceglasto-brunatnym, zwiotczałym dzikim bzem i mieniącymi się, biało-malinowymi kiściami kaliny. Podzwaniając szklanymi skrzydełkami, wolno płynęły powietrzem ważki, cętkowane i przejryste jak ogień i las.

Jurij Andriejewicz od dzieciństwa lubił las, prześwieciany wieczorną zorzą. W takich chwilach zdawało mu się, jakby i jego przeszywały na wskroś snopy światła, jakby dar życia wlewał się strumieniem w jego pierś, przenikał całą jego istotę i parą skrzydeł wydostawał się spod łopatek na zewnątrz. Ten młodzieńczy praobraz, który kształtuje się w każdym człowieku na całe życie i który wydaje mu się potem jego wewnętrznym obliczem, osobowością, odezwał się w duszy doktora z całą swoją pierwotną siłą i sprawił, że przyroda, las, wieczorne zorze i wszystko wokół zaczęło się przeobrażać w równie pierwotny i uniwersalny obraz dziewczyny.” (s. 441 - 442)

ZIMA

„Już dawno nadeszła zima. Trwały trzaskające mrozy. W mroźnej mgłę pojawiały się poszarpane dźwięki i kształty, stały, poruszały się, nikły. Słońce, nie to, do którego przywykli ludzie na ziemi, ale jakieś inne, zamienione, purpurową kulą wisiało w lesie. Rozchodziły się od niego z wysiłkiem, powoli niby we śnie albo w baśni, promienie gęstego jak miód, bursztynowego światła i po drodze zastygały w powietrzu i przymarzały do drzew.” (s. 476)

Przyroda w tej powieści nie jest zwierciadłem, które w jakikolwiek sposób odbija wszelkie stany duchowe człowieka, czymś w rodzaju beznamietnego obserwatora, który wprowadza w dramat i komentuje postawy jego bohaterów. Przyroda dla Pasternaka nie jest w jakikolwiek sposób związana z człowiekiem. To, że pisarze traktują Przyrodę jako pełną znaczeń dekorację dla życia duchowego, jest pokłosiem biblijnej zgody na przetwarzanie świata, w pewnym sensie usprawiedliwia agresję człowieka na Przyrodę, aż do nieświadomianego, lecz silnie działającego imperatywu bezwarunkowego poddaństwa Przyrody wobec wszelkich działań człowieka.

Przyroda nosi w sobie prawdziwe życie, nigdy nie popada w jakiegokolwiek uzależnienie, zawsze odradza się z martwych, a przecież człowiek potrafi ze „znakomitym” skutkiem całe życie egzystować w masce i pancerzu Persony, czyli doświadcza na sobie zdumiewające-

go stanu bycia i nie-bycia jednocześnie i to przez długie lata. Człowiek podświadomie nienawidzi Przyrody, gdyż odnajduje w niej to, czego sam zazwyczaj nie potrafi z siebie wykrzesać – umiejętności gwałtownego, bezwarunkowego samoodrodzenia, wybuchu strzelistego gejeru, wulkanicznej erupcji nowego, odrodzonego życia. Wyrażony w dialogu „Faidros” platoński mit o duszy, która upadła na Ziemię, zamieszkała w człowieku i na widok przeświecającego „z góry” piękna unosi zbołałe tęsknotą skrzydła, chcąc znowu ulecieć i połączyć się z Niebem, w zamieszczonym tu opisie lasu, znalazł swój genialny i z niczym nieporównywalny wyraz.

II. Anielskie dziecko wobec dionizyjskiej Przyrody

Herling-Grudziński ocenia „Doktora Żiwago” jako powieść „chybioną, zatłoczoną tłumem postaci o ledwie podcienowanej lub brulionowej psychologii, chaotyczną i rozwichrzoną kompozycyjnie, tonącą, bez widoków ratunku, w poezji...”, ale natychmiast dodaje, że „jest to książka... wielka: w swej bezkształtności ma przecież jakąś trudną do uchwycenia formę potwora flory głębinowej – oplątuje, dusi, wchłania. [...] Kiedy indziej odurza bogactwem tego, co my nazywamy surowcem, a co tu znacznie celniej oddaje włoska „materia prima”. („Pisma zebrane”, t. 8, s. 374)

I tak jest faktycznie. Ta powieść nie jest literacką katedrą w Kolonii, czy Bazyliką św. Piotra, a do takich budowli można przyrównać chociażby takie utwory jak „Wojna i pokój”, „Buddenbrokowie” czy „Noce i dni”.

A zatem, co stanowi o magnetycznej sile odysei Jurija Andriejewicza Żiwago, powieści otaczanej jedynym i niepowtarzalnym kultem przez ludzi na wszystkich kontynentach? Czy w ogóle jest możliwa na to odpowiedź?

Sądźmy, że tak. Jest to – wręcz gigantyczna naiwność pisarstwa Pasternaka, czyli przedstawienie fabuły oczami dziecka, któremu się wydaje, że wszystko można ujarzmić i zakląć w grze słów, metafor, potoczystości fraz w taki sposób, aby przedstawienie odbywało się samo, bez udziału dekoracji i aktorów, zawsze obecnych w każdym prezentowanym dramacie. Jedynym aktorem jest sam czytelnik, w sposób naturalny rozszczepiający się na postaci Doktora i Lary Antipowej. Naiwność pisarstwa Pasternaka można udowodnić na przykładzie konstrukcji samej postaci Doktora, gdyż Pasternak po prostu wmawia czytelnikom że jest on absolwentem medycyny i czytelnik święcie w to wierzy! Brak jest w jego opisie słów fachowych, skomplikowanych terminów medycznych, opisów operacji, żargonowych określeń, tak typowych dla środowiska lekarzy. Postać Doktora jest skonstruowana niestarannie i schematycznie, całkowicie niezgodnie z kanonami przyjętymi w literaturze.

Jako przykład „kanonicznie” skonstruowanej powieści podamy słynną powieść Maxence’a van der Meerscha „Ciała i dusze”, w której roi się od terminów fachowych i dokładnych opisów środowiska medycznego, a wszystko to w celu jak najlepszego uwiarygodnienia przedstawianego dramatu. Pasternak zastosował w swej istocie kapitalny i genialny zabieg literacki streszczający się w zdaniu – przecież tak naiwnej i czystej duchowo istocie jakim jest doktor Żiwago – nic się nie może stać, nie może on być poddany wyrokowi jakiegokolwiek Losu i przeznaczony „do odstrzału” przez złowrogie i nieprzejazne człowiekowi Fatum!

To właśnie dlatego, dzięki takiej a nie innej „rewolucyjnej” konstrukcji postaci głównego bohatera tej powieści, sama Przyroda może być opisywana oczami dziecka – Anioła, które z wyżyn swojego uduchowienia spogląda na nią i widzi w niej wyłącznie samo Czyste Dobro, najsuktelniejszą głębię Wszechświata, wszechbył w swej istocie zbawiony z samej mocy swojego istnienia, jedyną i niemożliwą do zanegowania – emanację Boskiej Jaźni, danej ludziom ku pamiętaniu, że nie są sami.

Porównajmy powyższe opisy z fragmentem opowiadania Iwaszkiewicza:

„Gdy wyszedł za stajnię, za sosny, jak gdyby po raz pierwszy zobaczył brzezinę, gdzie leżała żona. W tle późnego wieczora tkwiły te pnie białe, oświetlone resztkami światła, jak perły wprawione w aksamit. Pnie te, białe, gładkie, toczne, przypominały mu tutaj ramiona kobiece, mnóstwo splecionych ramion, wznoszących się w górę gestami błagania, uniesienia, czasem odgiętych ku dołowi ruchem poddania i rezygnacji. Bukiety ramion w górze łączyły się dłońmi, płatały palcami, niektóre zaś stały pojedyncze i beznadziejne. Wilgotne, parne powietrze napełniało zgęszczeniem interwały między brzozami i wszystko razem czyniło wrażenie jakiejś zmysłowej świątyni. [...] W ten wieczór czerwcowy nie było w brzezynie ani śmierci, ani trwogi. Ale życie, którym dyszał las, stało się niepokojące i potężne do tego stopnia, iż spokojny oddech Bolesława zamącił się niespodzianie. Powietrze uwięzło mu w gardle i serce się ścisnęło. Stał i patrzył, a lasem przechodził raz wraz pieszczotliwy dreszcz, ramiona pochylały się i zmieniały układ, potem wracały, a ciemne coś, w co wpijały się te białe ręce, słodko szemrało za każdym razem. Jak jeden złoty punkt wbity w te cienie zaśniła nagle pierwsza nuta spóźnionego słowika. Zachłysnęła się ona stojącym wciąż nieruchomo, niby grudką lodu. Grudka ta topniała w gardle, robiła się słodka i słona, przepełniła czymś ciepłym oczy.” („Opowiadania”, t. 1, s. 147 - 148)

W literaturze polskiej ten opis z „Brzeziny”, jak sądzę, nie ma sobie równych. Brzezina pulsuje emocjami i metaforami, jest nasycona w całości życiem duchowym

bohatera. Wyraźnie pełni rolę służebną wobec narracji opowiadania, tak jak dekoracje w teatrze same nie grają, a jedynie służą do uwydatnienia zamysłu autora dramatu i reżysera. Brzezina pochłania, wciąga, zdaje się kasandrycznie przemawiać, wieszczyc to, co nieuchronnie nastąpi.

Jak różne są te dwa rodzaje opisów! Triumfalny pochód nowego życia, radość całego wszechświata, deszcz, woda, jako zwiastuny odrodzenia a w „Brzezynie” smutek, załęknięcie, splatany chaos gałęzi opląujący strapionego człowieka.

To, co Herling-Grudziński nazywa „chaosem” faktycznie jest przywróceniem przez Pasternaka prastarego, najbardziej pierwotnego mitu Przyrody, wstydliwie schowanego przez współczesnych w najciemniejsze zakamarki świadomości. Teraz Przyroda jawi się nam jako okrutna i ślepa siła, karząca ludzi, a jej niewytłumaczona i gwałtowna ekspansja – jako zadośćuczynienie za zadane jej cierpienia i bezmyślną cywilizacyjną eksploatację.

Aż do czasów Nietzschego zagadnienie tragedii greckiej było przedmiotem zaledwie kulturowych analiz, w zależności od aktualnych mód. Dopiero ten „alpejski samotnik” wy dobył na jaw właściwe znaczenie tragedii i jej niezwykle archaiczne konotacje. Każdy z jej składników: chór, aktor, epizody, prolog, epilog – musi występować w każdej powieści, która chce być czymś więcej jak tylko zwielokrotnionym przez media nic nie znaczącym pseudoliterackim poszumem.

U Pasternaka chórem jest Przyroda, tak jak w jej greckim odpowiedniku – daje wytchnienie, zadumę, właściwą perspektywę wydarzeń, staje się leczącym balsamem na nierozwiązywalny splot dramatycznych i tragicznych wydarzeń w omawianej przez nas powieści.

Ta powieść wydaje się być wielką starożytną płaskorzeźbą, którą ogląda zdumiony jej rozmachem współczesny czytelnik: wyraźnie wyodrębnione z tła kluczowe sceny sąsiadują, dla uspokojenia emocji, z hymnami na cześć Przyrody, w swej istocie dionizyjskimi.

„Chór jest jednak najwyższym, mianowicie dionizyjskim wyrazem natury i dlatego tak jak ona przemawia w natchnieniu słowami wyroczni i mądrości.” (Nietzsche, „Narodziny tragedii z ducha muzyki”, przeł. Leopold Staff)

Film, który wzbudził we mnie trwające aż do dzisiaj głębokie poruszenia i mnogość refleksji – to arcydzieło Kurosawy „Dersu Uzala”. Wspominam o tym filmie nie bez powodu. Również w nim, tak jak w powieści Pasternaka, Przyroda jest przedstawiona jako jeden z głównych, a być może, najważniejszych aktorów tego poruszającego spektaklu. Fundamentalność przedsta-

wienia zasadza się na mityczności przekazu, czyli na nie dającej się opisać kategoriami literackimi – źródłowej, sięgającej aż do podstaw ludzkiej egzystencji, żywej, wzbijającej się aż do Nieba, niestworzonej przez człowieka, Prawdzie o jedności i harmonii wszechistnienia.

W monumentalnej scenie, w której Dersu Uzala i kapitan Arseniew oglądają panoramiczny obraz zachodzącego Słońca i wschodzącego Księżyca, padają jakże głębokie słowa:

„Kapitanie! – To Słońce, pierwszy najważniejszy Człowiek. Jeśli on zginie, wszystko zginie. A to – drugi najważniejszy Człowiek” – mówi Dersu wskazując na Księżyc, po czym zapada chwila ciszy.

Scena ta po wielu latach wzbudza we mnie równie żywe emocje, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy oglądałem ten wyjątkowy film. Pobratymstwo istnienia, Arkadia niezakłóconego trwania, człowiek jako wędrowca, nic nie znaczący punkcik w odysei przez step i tajgę – ten film dobrze się komponuje z dionizyjskim mitem Przyrody w powieści Pasternaka. Współbrzmienie tych dwu tonacji, w jednym majestatycznym akordzie, stanowi dla nas współczesnych jedyną radosną pieśń o wyzwoleniu z okowów pseudocywilizacyjnego oamienia.

„Cały nasz nowoczesny świat oplata sieć kultury aleksandryjskiej; za swój ideał ma on uzbrojonego w najwyższe siły poznawcze, pracującego w służbie nauki człowieka teoretycznego, którego prawzorem i proojcem jest Sokrates.

[...] Teraz zaś nie skrywajmy przed sobą, co tkwi skryte w łonie tej sokratejskiej kultury! Bezgranicznie samozłudny optymizm! [...] Trzeba pamiętać, że kultura aleksandryjska, aby mogła trwać, potrzebuje stanu niewolniczego, ale w swym optymistycznym podejściu do bytu zaprzecza ona niezbedności takiego stanu i dlatego, gdy zużyje się już efekt jej pięknych, uwodziecielskich i uspokajających hasel o „godności człowieka” i „godności pracy”, zaczyna stopniowo zmierzać ku straszliwemu zniszczeniu.” (Nietzsche, tamże)

Waldemar Bożeński
al. Grunwaldzka 234/2
80-266 Gdańsk
tel. 0-502/765-245

e-mail: andromeda@pologne.com

Autor (ur. 1959 r.) jest historykiem filozofii, eseistą, wydawcą, autorem książki *Pęknięty witraż – człowiek w pułapce globalizmu*. Więcej informacji o książce na stronie www.pologne.com/andromeda. Jej cena wynosi 20 zł. Także książkę: José Bové, François Dufour, *Świat nie jest towarem*, wyd. Andromeda, Gdańsk 2002 (25 zł) można nabyć pisząc na powyższy e-mail.